JUŻ JUTRO 14 LUTEGO!

# DZIEŃ ŚW. WALENTEGO – PATRONA ZAKOCHANYCH!!!

***Dużych radości i małych smuteczków wszystkim oczarowanym, lubiącym się, zaprzyjaźnionym i zakochanym życzy***

**REDAKCJA**

## A jednak ślubne obrączki...

Angielska aktorka Glynis Barber i amerykański aktor Michael Brandon – para sympatycznych bohaterów popularnej u nas i gdzie indziej tv serii policyjnej – „Dempsey i Makepeace na tropie" stała się parą i w życiu prywatnym. Pobrali się – czego życzyli im wszyscy sympatycy – w czasie minionych świąt. Zdecydowali się na to po przeszło roku namysłu. Miejmy nadzieję, że ich małżeństwo będzie bardzo szczęśliwe i że zobaczymy ich oboje razem na ekranie jeszcze w niejednym dobrym filmie.

**(eb)**


WTOREK

# ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Nr 19/20 13 II 1990 Cena 650 zł


***Jesteśmy towarem***

## TYDZIEŃ BEZ CZWARTKU

**Jeśli przykre niespodzianki zdarzają się nam co parę tygodni – przestają być niespodziankami a dokuczliwościami, do których przywykamy i z rezygnacją oczekujemy nowych. Nie zdziwi Was więc pewnie nasz kolejny komunikat: „ŚWIAT MŁODYCH" OD DZISIAJ BĘDZIE SIĘ UKAZYWAĆ NIE TRZY, A DWA RAZY W TYGODNIU.**

Dlaczego? Jak zwykle powody są takie same: po pierwsze brakuje papieru, po drugie jest on coraz droższy, po trzecie drogie bardzo są usługi drukarskie, a „Świat Młodych", jak każde inne pismo, musi zarabiać na siebie. Nikt grosza do kosztów jego wydawania nie dołoży. W systemie tak zwanej gospodarki rynkowej Wasza gazeta jest towarem, a towar ma przynosić dochód, choćby minimalny. Dochodowa musi być nie tylko produkcja mięsa, butów, telewizorów, ale i książek, czasopism, filmów.

W środowiskach twórców kultury trwają pełne niepokoju dyskusje: co zrobić, żeby z rynku czytelniczego nie zniknęły bardzo ważne, bardzo potrzebne, bardzo wartościowe książki, które nigdy nie przynosiły i nie będą przynosiły dochodu wydawcom. Co zrobić, żebyśmy się nie karmili tylko łatwą, mało ambitną lekturą? Jak uratować nisko nakładowe tomiki poezji? Trudne filmy, które nie będą ściągały masowej publiczności?

Ministerstwo Kultury wzięło pod swą opiekę niektóre czasopisma – takie, które pieniędzy nie przyniosą, ale bez których trudno wyobrazić sobie życie kulturalne kraju. „Świat Młodych" takiego opiekuna nie znalazł, choć jest jedyną gazetą dla nastoletniego czytelnika, choć ten czytelnik, sam nie zarabiając na swoje wydatki, nie ma możliwości systematycznego kupowania drogiego pisma.

Wiemy, jak trudno Wam uprosić rodziców o 650 już złotych na jeden numer. No więc zdecydowaliśmy się na obniżenie Waszych wydatków przez likwidację jednego numeru w tygodniu, czwartkowego, znajdując jednak miejsce dla jego stałych kącików w wydaniach wtorkowych i sobotnich. To bardzo trudna decyzja dla nas i bardzo przykra niespodzianka dla Was, ale innego wyjścia na razie nie ma.

A może by jednak... A może by jednak Ministerstwo Edukacji Narodowej uznało, że jedna gazeta dla uczniów szkół podstawowych to nie jest liczba zbyt duża i warto by pomóc pismu? Pismo przecież za to może pomóc szkole. Panie Ministrze, skoro pani Izabela Cywińska ratuje „Poezję", by nie zniknęła z naszego życia, to może Pan mógłby coś zrobić, by nastoletni ludzie nie odwykli od systematycznego czytania prasy?

**REDAKCJA**

***Gady ery mezozoicznej (3)***

## GORGOZAUR

***(Gorgosaurus)***

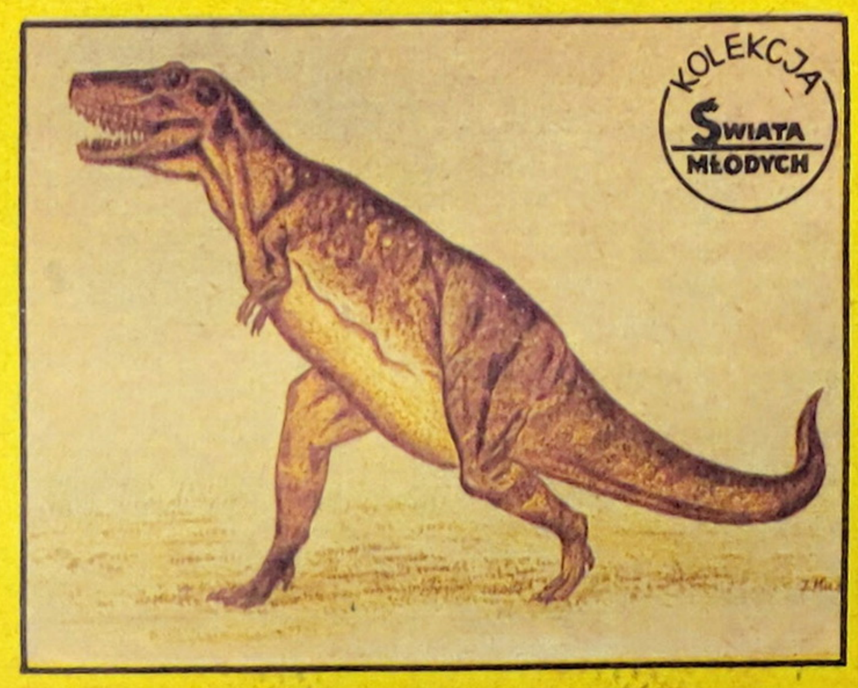


## Hipopotamie bliźniaki

Są śliczne, bardzo jeszcze malutkie i nazywają się Splish i Splash (po polsku chyba Plask i Plusk). Są prawdziwą ozdobą, wręcz gwiazdami, ogrodu zoologicznego w Memphis w stanie Tennessee w Ameryce. Popularności, smacznych kąsków i matczynej wręcz troskliwości dozorców zazdroszczą im inne zwierzaki, a przede wszystkim starsi pobratymcy z tego samego basenu. Natomiast ich mama – imponująca Julia jest ze swych pierworodnych synków bardzo dumna i nie odstępuje ich na krok. Tymi narodzinami zrobiła wielką niespodziankę swoim opiekunom, ma już bowiem lat 28 i jak dotychczas zdecydowanie odrzucała zaloty wszystkich kawalerów.

**(eb)**

## Dlaczego się załamałaś?

Piszę w sprawie listu Roksany (nr 132 „ŚM"). Zdaje mi się, że znam tę dziewczynę. Poznałam ją w sanatorium i bardzo ją lubiłam.

Roksano! Piszesz, że nie wiesz co robić. Trochę nie pasuje mi to do Ciebie, gdyż zawsze byłaś wesoła, koleżeńska i nie martwiłaś się byle czym. Zyskałaś sobie tym wielu przyjaciół wśród chłopców i dziewcząt. Zazdrościłam Ci nawet tego, bo ja jestem nieśmiała. Czy pamiętasz swój odjazd? I to, gdy przyjechałaś po dwóch tygodniach odwiedzić mnie i innych?

Co się z Tobą stało? Dlaczego tak się załamałaś. Spróbuj zjednać sobie parę koleżanek i kolegów. Przecież Ty to potrafisz! Nie przejmuj się przezwiskami, chociaż ja wiem, że to nie jest łatwe. A może napiszesz do mnie? Pisałam już do Ciebie dwukrotnie, ale bez skutku. Dla Ciebie i dla wszystkich innych znajdujących się w podobnej sytuacji podaję swój adres: **Agnieszka Zaremba, ul. Niemodlińska 59-61 m. 101, Opole.**

## Przypalone zupy w szkolnej stołówce

W naszej szkole jest stołówka. We wrześniu i w październiku podawano nam mleko. Tylko raz było przypalone. Potem kucharki się poprawiły i można było je wypić.

Od listopada pojawiły się już zupy. Wstrętne, w ogóle nie da się jeść, często są przypalone. W zupie fasolowej na przykład pływają czarne, zgniłe ziarna fasoli.

Interweniujemy, ale to nic nie daje. Najlepszy sposób – nie jeść, ale my wracamy do domu o godz. 15.30, a do szkoły wychodzimy z domu o godz. 7.10. Czy w innych szkołach też tak jest? Prosimy o wypowiedzi na ten temat. A może macie jakąś radę?

**„Smakoszki"**

## To nie ja pisałam te listy

Piszę do was po raz pierwszy, jesteście moją ostatnią „deską ratunku". Mam 13 lat, obecnie przebywam w sanatorium wraz z koleżankami ze szkoły. Mam bardzo poważny kłopot.

Telefonowała do mnie mama, która powiedziała, że była pilnie wzywana do szkoły. Dowiedziała się, że do moich koleżanek z klasy przyszły listy z różnymi wyzwiskami i kłamstwami. Nadawcą tych listów niby mam być ja.

Złamałam się. Proszę was, poradźcie mi co mam zrobić, przecież nikt z klasy nie będzie się chciał do mnie odezwać, wychowawczyni uważa, że obracam się w złym towarzystwie. A naprawdę mam sympatyczne koleżanki.

PS. Bardzo proszę o wydrukowanie mojego listu, ponieważ chciałabym, żeby klasa przeczytała go, zanim wrócę z sanatorium. Dziękuję.

**Monika J.**
**z Legnicy**

**OD REDAKCJI: Chcąc spełnić Twoją prośbę, Moniko, Twój list drukujemy wcześniej, poza kolejnością. Mamy nadzieję, że będzie to pomocne. A swoją drogą – chyba łatwo Ci będzie udowodnić, że to nie Ty pisałaś te listy. Dowody to – charakter pisma czy miejsce nadania listów. Doprawdy trudno nam zrozumieć, kto i po co wymyślił taką obrzydliwą intrygę. (bs)**

REPORTER Świata Młodych

# TAKI FASON?

## Głos wandala

Mam 16 lat i reprezentuję grupę ludzi, na których tak beztrosko „najeżdżacie" – jestem „wandalem". Chciałbym napisać parę słów, jeśli nie wyjaśnienia, to przynajmniej sprostowania. Piszecie, że „rozpychamy się i usuwamy ze swojej drogi wszystko i wszystkich, których na niej napotykamy".

Odpowiadam: nad chamami trzeba zapanować! Trzeba ich wychować – dać im nauczkę, żeby sobie zapamiętali na przyszłość! Nie piszcie, że my jesteśmy tacy źli! My czasami upiększamy otoczenie. Niedawno pomalowaliśmy sprayem przejście tramwajowe.

Jest tam bardzo kolorowo – i naprawdę pięknie!

Co do mnie, nie urywam słuchawek w budkach telefonicznych i nie łamię ławek, jednak potrafię zrozumieć ludzi, którzy to robią. Oni często mają trudną sytuację domową, słabo się uczą, są nieszczęśliwi, dają więc upust swojej złości i żalowi właśnie tą drogą. A czy to ich wina, że wychowali się w ten, a nie inny sposób? Często pochodzą z rodzin pijackich, a nawet narkomańskich.

Bardzo ładnie z Waszej strony, że chcecie na nas dobrze (?) oddziałać, że chcecie naprawić (?) społeczeństwo. Obawiam się jednak, że zamierzonego skutku nie osiągniecie. Nasze życie ma swoisty urok, który przyciąga – i wyobraźcie sobie, że nie wszyscy z nas muszą być tacy źli i zepsuci, jak nas przedstawiacie...

**Alex**

## O czym świadczy wygląd?

Piszemy w sprawie listu Barbary ze Złotowa (i nie tylko) pt. „Czy jest to jakaś szczepionka?", który został zamieszczony w LR (1 numer „ŚM" z tego roku).

Zastanawiamy się, czy słuszna jest opinia o *punkach, rockersach, metalowcach* itp., iż są to ludzie źle wychowani i odznaczają się chamstwem, wulgarnością i szpanerstwem? Mamy inne poglądy na ten temat (zaznaczam, że nie należymy do żadnej z tych grup).

Piszesz w swoim liście, że nie możesz (właściwie nie umiesz) wytłumaczyć sobie ich postępowania. Raczej nie chcesz! Przyjęła się opinia, że ludzie tego pokroju co *punki*(itd.) to margines. A zastanawiałaś się, że taki *punk* może być wykształconym człowiekiem, któremu podoba się ten styl i dobrze się czuje w tym ubraniu i uczesaniu, natomiast nie ma nic wspólnego z chamstwem?

Znamy osobiście paru takich i są bardzo sympatyczni. Można z nimi porozmawiać na wszystkie tematy i znaleźć wśród nich prawdziwego przyjaciela. A może razi Cię to, że cieszą się każdą chwilą i urozmaicają sobie to szare życie?

Częściowo jednak podzielamy Twoje zdanie, bo trzeba przyznać, że nie każdy *punk* czy *metal* może być wzorem, ale nie uważaj, że wszyscy są źli!

Zwróć uwagę na swoje otoczenie, może tacy jak Ty – grzeczni w towarzystwie – w rzeczywistości swoje stresy wyładowują na przedmiotach martwych.

Jest takie przysłowie: „Nie oceniaj ludzi po wyglądzie".

**Anka**
**Nowy Targ**

## Czy udawać, że nic się nie dzieje?

Z wypowiedzi w LR można wyciągnąć jeden wniosek. Jest on taki, że wszyscy się skarżą, iż ktoś niszczy, dewastuje, przeklina. Koniec tego! Jak długo będziemy narzekać na wszystko, na wszystkich? Czas już najwyższy się opamiętać i zacząć od siebie. Narzekamy, że np. przed blokiem są zdewastowane ławki, zdeptana trawa. Pytam, kto to zrobił? Krasnoludki?

Sebastian (członek LR) zadaje pytanie „Co się dzieje z polską młodzieżą żeńską?"

Moja odpowiedź jest taka: Z nami się nic nie dzieje – tyle że gdy przechodzimy obok Was (nie dotyczy to wszystkich), to słychać tylko „Patrz ale..." i tym podobne. Dlaczego, jeśli chłopcy przeklinają, to dziewczyny nie mogą? (Osobiście jestem przeciwna chamstwu i rozprzestrzenianiu się wandalizmu.) Ale co zostało? Chodzić cicho i grzecznie, a gdy ktoś odezwie się po chamsku, to udawać, że nie słychać?

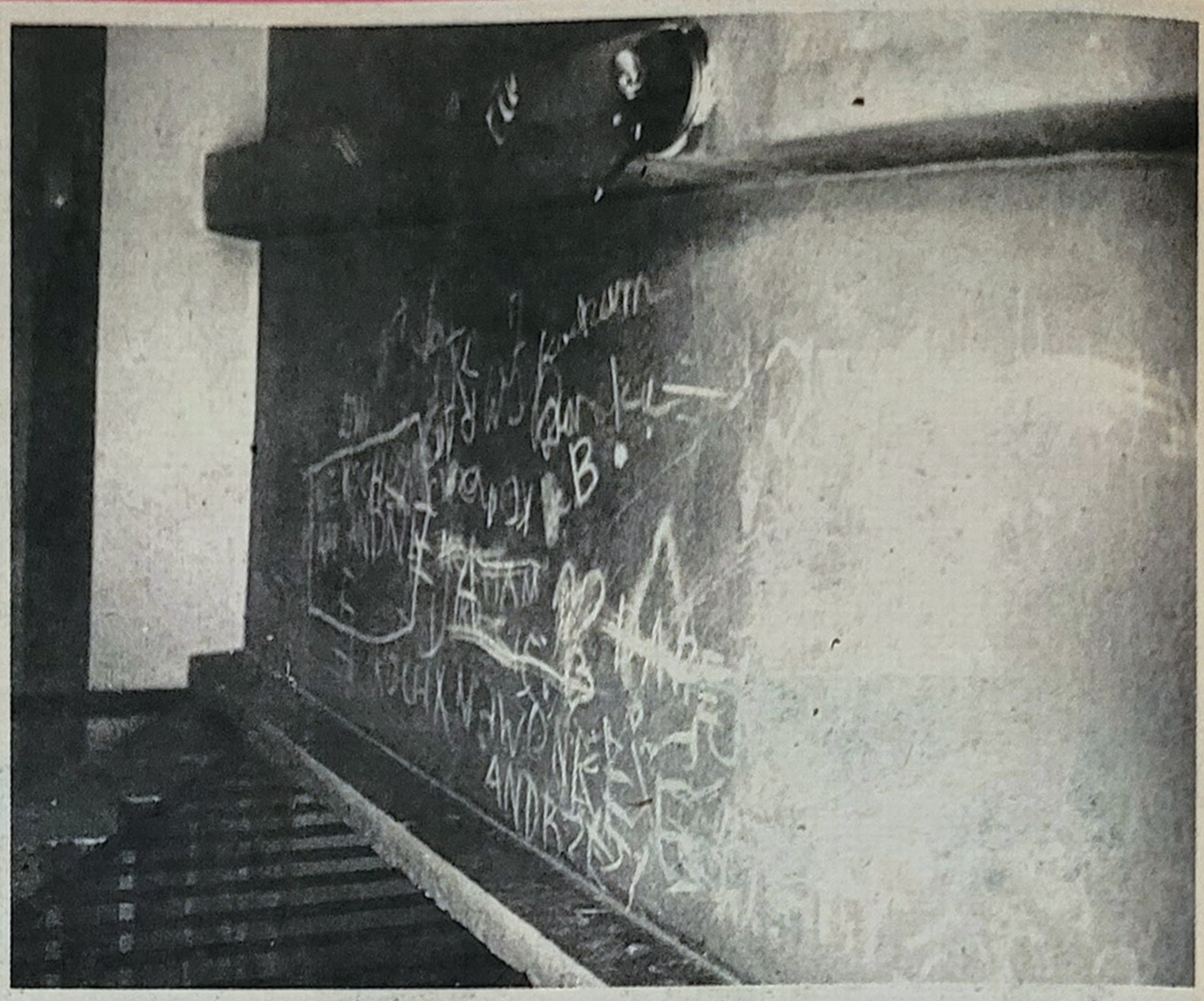

Czy Wy reagujecie, gdy ktoś jest bity, czy też wolicie tylko popatrzeć lub udajecie, że nic nie widzicie?

Wiem, że wielu z Was będzie oburzonych moimi wypowiedziami. Ale zacznijmy mówić prawdę o rzeczywistości.

**Joanna Dolik**
**woj. pilskie**

## Co inni na to?

Chamstwo nie jest żadnym fasonem! Dziewczyny nie lubią chłopaków chamskich, tylko wygadanych, obrotnych i zaradnych, a to zasadnicza różnica. Każda z nas podświadomie wyczuwa, że ten, kto pali, upija się, pluje, przeklina – w rzeczywistości jest (niestety!) głupi jak but, nic nie potrafi zrobić, jest słaby psychicznie i tylko się maskuje!

Jeszcze żałośniej wygląda pozująca „na fason" dziewczyna – nie muszę jej opisywać; w każdej klasie znajdą się takie, które myślą, że jeżeli będą na wszystkich krzyczeć i odpowiadać im po chamsku, to na pewno zdobędą sobie poważanie. Złudne to marzenia! W końcu każdy normalny człowiek woli mieć w towarzystwie osobę inteligentną, a nie odrażającego typa i to jest chyba zupełnie naturalne!

Tematem do dyskusji może być inna sprawa. **Jak należy reagować na chamstwo?** Moim zdaniem – nie wolno stracić spokoju, bo inaczej zwulgarniejemy wszyscy. Jeżeli na czyjąś „grubą" odzywkę odpowiemy uśmiechem i grzecznymi „przepraszam, o co ci chodzi, powtórz, proszę", najgorszy cham zgłupieje, gwarantuję. Z drugiej strony – czasem trudno się powstrzymać przed odkrzyknięciem jeszcze głośniej...

Na chamstwo musimy coś konkretnego poradzić, na jęczenie i narzekania zawsze będzie czas.

**Magda Chodor (I.14)**
**Szczecin**

## Rzuć koło ratunkowe!

Uważam, że ludzie żyjący według „Takiego fasonu" nia mają po prostu własnego „ja" i są tchórzliwi. Zaraz to wyjaśnię. Otóż, czy młody chłopak kulturalny i dobrze wychowany znalazłby poparcie wśród rówieśników? (chodzi mi o większość). Chyba każdy przyzna, że nie. Dlatego też ten chłopak upodabnia się do innych i w ten sposób powstaje błędne koło! Są oczywiście wyjątki, ale nie o nich chcę tu pisać.

Wydaje mi się jednak, że nie wszyscy posługujący się „łaciną" i rozpychający się łokciami muszą być źli. Są to najczęściej ludzie nie posiadający przyjaciół, ludzie, których spotkał w życiu zawód i którzy boją się, że w końcu przestaną się liczyć. Uważam, że właśnie dlatego są wulgarni i agresywni. Chcą bowiem publicznie zademonstrować, że jeszcze coś znaczą. Dlatego myślę, że takim ludziom należy pomóc! A u nas jest wprost przeciwnie. Według mnie dopiero tu zaczyna się problem: **jak pomóc?** Niewątpliwie jest to bardzo trudne zadanie, ale chyba każdy może spróbować.

Człowiek żyjący według „takiego fasonu" nie od razu był zły, ale dopiero w pewnym momencie życia „zszedł na psy". Najważniejsze, aby właśnie uchwycić taki moment. Dla tego, kto nie jest egoistą i choć trochę obserwuje – nie bywa to trudne. Właśnie w tym krytycznym momencie życia należy zbliżyć się do załamującego się człowieka. Należy otoczyć go przyjaźnią i starać się zbadać przyczynę takiego, a nie innego stanu. Jeżeli przejdziemy obok w tym momencie, później może być już za późno.

Ktoś może zadać pytanie: „jak to zrobić? Na pewno każdy jest inny i inaczej należy do każdego podejść, musimy się więc zastanowić, przecież choć trochę znamy ludzi żyjących w naszym otoczeniu.

Tak więc od dziś, zamiast narzekać na niekulturalną młodzież, weźmy się do roboty. Efekt będzie na pewno. Wiadomo, że nie zlikwidujemy całkowicie marginesu społecznego, ale przynajmniej uratujemy kilku potencjalnych nowych jego członków, a chyba to jest najważniejsze. Życzę Wam wszystkim (sobie też) powodzenia!

**Piętnastolatka**
**Kielce**

Obcojęzyczna nazwa została utworzona od imienia Gorgony – postaci z mitologii greckiej i słowa „jaszczur".

Był to olbrzymi, drapieżny dinozaur, którego długość dochodziła do 9 m. Sama czaszka mierzyła 0,85 m. Młodsze geologicznie, spokrewnione: amerykański tyranozaur i gobijski tarbozaur były największymi drapieżnikami lądowymi wszystkich czasów (do 15 m dług.). W procesie ewolucji wzrostowi wielkości głowy, w proporcji do rozmiarów ciała, towarzyszyła dalsza redukcja kończyn przednich. Brak jest jednolitej opinii, które z tych zwierząt mianować królem drapieżników.

Gorgozaur polował na mniejsze dinozaury roślinożerne – pancerne lub rogate, atakując je z zasadzki, ponieważ ten potężny, masywny gad nie był zdolny do dłuższego biegu. Przypuszczalnie wyruszał na łowy samotnie. Silnymi szczękami, uzbrojonymi w potężne zęby, kruszył pancerze swych ofiar. Niektórzy paleontologowie sądzą, że gorgozaur i inne tyranozaury były głównie padlinożerne. Wykrywanie pokarmu i ocenę odległości ułatwiało im umieszczenie gałek ocznych tak, że widziany obraz był stereoskopowy.

Szkielety pochodzą z górnej kredy Ameryki Płn. (80 mln lat temu). **(ik)**

Rys. **autorki**

Jeżeli wklejasz serię do zeszytu – pokryj klejem tylko to miejsce!

## Spotkania

# POMNIKI

Był niewiele starszy od Was i opinie, jakie o nim mieli dorośli, były bardzo różne. Łatwo ulegał wpływom. Szlachetnie bronił słusznej sprawy. Nie dotrzymywał słowa. Był mężny i odważny. Tylko zapalczywy. A naprawdę? Jeśli wierzyć komuś, kto znał go dobrze, to „żył zbyt krótko, by ujawnić cechy swego nie w pełni zresztą ukształtowanego charakteru". Jednak gdy zginął, wielu nie mogło w to uwierzyć i długo nie przyjmowało tego faktu do wiadomości.

Będziecie może trochę zaskoczeni, ale chodzi mi tutaj o Waszego rówieśnika sprzed wielu, bardzo wielu lat, który daleko poza granicami Polski walczył z Turkami, stanowiącymi wtedy niebezpieczeństwo dla całej Europy. W końcu w tej walce mógł zamanifestować swoją nastoletnią wolę i swoje decyzje, zamanifestować tak dalece, że po kilku świetnych zwycięstwach i zerwaniu zawartego z Turkami pokoju, zginął w dziesięć dni po swych dwudziestych urodzinach podczas szarży na obwarowane ugrupowanie janczarów osłaniających sułtana, niedaleko Warny.

Tak, to Władysław Warneńczyk, który w blisko pięćset lat później doczekał się w miejscu swej śmierci wspaniałego mauzoleum. Biała, uśpiona w kamieniu postać ostatniego krzyżowca Europy... Czy na pewno ostatniego? Przecież Polska leży znowu coraz bardziej w Europie.

W „Człowieku z żelaza" Andrzeja Wajdy, dziś senatora Andrzeja Wajdy, jest taka scena: tłum na wyrwanych skądś drzwiach niesie ciało zabitego chłopaka, ludzi jest coraz więcej, z radiowozu padają słowa o konieczności odcięcia czoła manifestacji – wiadomo, że z symbolami walczyć jest najtrudniej. Te drzwi to nie wymysł scenarzysty i filmowy rekwizyt. Tak było naprawdę. Odrestaurowane (choć tak młody to „zabytek"; a może relikwia...) trafiły nie tak dawno do kościoła, by w tym nie najlepiej według mnie jednak wybranym miejscu, zmieniającym się powoli we współczesne mauzoleum, przypominać i ostrzegać.

W jak zwykle interesującym programie telewizyjnym z cyklu „1000 pytań do..." Izabela Cywińska, minister kultury i sztuki, wypowiadała się m.in. na temat wielu istniejących w naszym kraju muzeów ruchu robotniczego, które stanowią martwe dziś placówki. (Czy znacie podstawowe znaczenie tego wyrazu? Placówka to „miejsce bronione, przeznaczone do obrony.) Pani minister zastanawiała się, czy znajdzie się ktoś, kto ułoży taki scenariusz ich ekspozycji, że wzbudzi to zainteresowanie zwiedzających jak choćby legendarna wystawa malarstwa „Polaków portret własny", jak dziś „Żydzi polscy" (najpierw w Krakowie, potem w Warszawie) czy „Stanisław Ignacy Witkiewicz – dzieło malarskie" w Muzeum Narodowym, tuż obok oddanego w końcu mieszkańcom stolicy Mostu Poniatowskiego. Otóż idea podobnego scenariusza jest już gotowa: wymyśliło ją życie, które działalność ruchu robotniczego, tego najbardziej autentycznego, przedłużyło na lata osiemdziesiąte naszego wieku. Tamten chłopak na ocalałych drzwiach-relikwiarzu – czy to też nie jest jak najbardziej współczesny Polaka portret własny?

Jedni czekają na swój pomnik przez wieki, inni sami stawiali je sobie za życia, jeszcze innym stawia się je może nawet wbrew ich woli czy co najmniej przy ich zakłopotaniu...

Ale wróćmy nad Morze Czarne... Gdy opływałem jego radzieckie porty ( może teraz należałoby raczej powiedzieć ukraińskie, rosyjskie i gruzińskie), w każdym z nich, czy może nawet dokładniej – nad każdym z nich, wznosił się pomnik: zastygły zwykle w hieratycznej pozie Lenin, błogosławiący miastu. Kiedyś należał do Wielkiej Czwórki brodatych i wąsatych filozofów i polityków, których cztery profile tak zrosły się ze sobą, że trudno było się przyzwyczaić do białej plamy , jaka od dłuższego czasu zastępuje profil najmłodszego z nich. Marks, Engels, Lenin i Stalin - te nazwiska wymieniało się jednym tchem.

Jak doniosła w grudniu Polska Agencja Prasowa specjalistyczne brygady zdemontowały w Nowej Hucie statutę Lenina w celu przeprowadzenia niezbędnych prac konserwatorskich. Po ich zakończeniu zapadnie decyzja o nowej lokalizacji pomnika. „Obiekt ten był ostatnio ośrodkiem niepokoju i zamieszek ulicznych, zakłócających spokój i bezpieczeństwo mieszkańców". Czy zamieszki te nie były niepotrzebnym efektem okresu, kiedy i w sprawie pomników decydowali za nas inni?

Działo się to w niewiele czasu po dniu, w którym na jednym z wielkich placów stolicy demontowano inny pomnik. Oglądałem to wydarzenie w telewizji i czułem w sobie narastający protest i.... obrzydzenie. Nie, nie przeciwko tym, którzy ten pomnik postawili i upamiętnionej nim postaci, ale przeciwko dokonującemu się aktowi i w odpowiedzi na reakcję tłumu. Nie, nie mam zamiaru bronić „jednego z inicjatorów budowy fabryk traktorów" (tę informację zamiast innych ważniejszych można znaleźć w Wielkiej Encyklopedii Powszechnej PWN o Dzierżyńskim), ale dla mnie bezczeszczenie zwłok, a tak odebrałem zniszczenie pomnika, niezależnie czyich, nie mieści się również w granicach człowieczeństwa.

Pomniki poddają się stosunkowo łatwo. Wystarczy jedno mocne uderzenie o ziemię. Jaka siła potrzebna jest, by dokonać zmian istotniejszych? Szymon Kobyliński, od lat bezbłędnie komentujący rzeczywistość w swych rysunkach w „Polityce", spuentował i to wydarzenie: siedzący w gabinecie facet, oglądający scenę burzenia pomnika, mówi: „Za cenę zwalenia ciebie nie zwalono mnie".

Potem przyszły wydarzenia rumuńskie i w proch padł żywy pomnik z Bukaresztu, a ja solidaryzowałem się z tymi, którzy mówili: chyba jednak nie tak... Bo najpierw zwalajmy może pomniki starego w nas samych. Bo naprawdę – jak radzi Sztywny Pal Azji – od tego trzeba zacząć. Oprócz innych możliwych zmian najpewniejsze jest bowiem to, że „mogę zmienić się sam i mogę zmienić ciebie, możemy zmienić nasz dom, by było nam jak w niebie". Czy w niebie może przeszkadzać nawet pomnik diabła?

Jarek

czyli
**JAROSŁAW LISIECKI**

# Jak się nie nudzić?

Może pamiętacie nadany w telewizji przed świętami program, w którym mowa była o tym, kto i gdzie się nudzi, i jak temu zaradzić. Trochę nas to rozbawiło, gdy zebrani w studiu uczniowie warszawskich szkół próbowali wymyślić jakieś rozrywki dla swoich kolegów z małych miasteczek i wsi, którzy... nie mają przecież basenu i kortu tenisowego, a poza tym muszą ciężko pracować w gospodarstwie. Ogłosiliśmy więc taką naszą ankietę pt. „Kto i dlaczego nudzi się w Tykocinie?" Jej wyniki podamy wkrótce do publicznej wiadomości, a na razie mamy dla Was pierwszą propozycję na nowy rok, który dla nas zaczął się bardzo wesoło. Chcielibyśmy utrzymać ten nastrój aż do następnych świąt.

**Propozycja pierwsza:**

### Może zacząć od śpiewania?

Kiedyś, gdy ludzi nie wyręczały gwiazdy rocka, telewizja, radio, magnetofony i cały wspaniały sprzęt, o którym każdy marzy – śpiewanie było bardzo popularne na co dzień i od święta. Śpiewano bardzo często w gronie rodziny czy z przyjaciółmi, kompozytorzy układali specjalne „Śpiewniki domowe" do powszechnego użytku. Na wsi dzień zaczynano śpiewaniem godzinek – pieśni ku czci Matki Boskiej, śpiewano też przy pracy, która miała inny niż dziś charakter. O śpiewaniu podczas ubiegłorocznych wykopków pisaliśmy w Jesiennym Obserwatorium Przyrody (150 nr „ŚM").

Święta byłyby nie do pomyślenia bez odpowiednich pieśni. W każdym wiejskim domu znajdowały się przepisywane ręcznie, przechowywane nieraz od pokoleń śpiewniki na różne okazje. My postanowiliśmy ten rok prześpiewać! Mamy już śpiewniki z kolędami, dawnymi pieśniami patriotycznymi. Gdzie się tylko da, szukamy ciekawych a zapomnianych piosenek. Chyba w tym roku nie grozi nam chandra i nuda... Zaczęliśmy od kolęd!

**Maria Markiewicz**

### Polubiłem kolędowanie

Drugiego dnia świąt pojechałem z bratem do Tykocina do babci. Gdy po długiej podróży znaleźliśmy się wreszcie w Tykocinie, było już ciemno. Na ulicy spotkaliśmy Renatę z koleżanką, które szły z szopką po kolędzie. Powiedziały, że możemy się do nich przyłączyć. Byliśmy w pięciu domach. Następnego dnia, od południa aż do wieczora kolędowaliśmy z akompaniamentem gitary.

Po przyjeździe do Warszawy każdego wieczora pod choinką śpiewaliśmy kolędy, chodziliśmy też do znajomych. Podczas tegorocznych świąt bardzo polubiłem kolędowanie. Poznaliśmy też nowe (a właściwie bardzo stare) wesołe kolędy i pastorałki.

**Kuba Markiewicz**

### Z szopką własnej roboty

Przed Świętami Bożego Narodzenia, przez Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Tykocińskiej ogłoszony został konkurs dla dzieci na szopkę i gwiazdę dla kolędników. Lecz nikt jakoś nie rwał się do robienia. Zachęciła nas do tego pani Marysia z biblioteki, która dała nam również wszystkie potrzebne materiały, i w ten sposób siedem dziewczynek – a wśród nich ja – zaczęło robić pierwsze szopki. Starałyśmy się wykonać je bardzo starannie. Ukończywszy pierwszą szopkę, zaczęłam robić drugą. Wszystkich szopek było razem pięć, w tym dwie moje. Gdy nadszedł pierwszy dzień świąt, zebrałyśmy się we trzy o godz. 16.30 i poszłyśmy kolędować po Tykocinie. Ludzie przyjmowali nas serdecznie i cieszyli się, że odwiedzili ich kolędnicy. Chodziłyśmy najpierw we trójkę: ja, Ewa Mściwojewska i Anka Palak. Drugiego dnia świąt chodziłam tylko z Ewą.

Mimo że nie było śniegu, było bardzo przyjemnie i byłyśmy bardzo zadowolone. Zachęcam wszystkich do chodzenia z szopką! Można też chodzić z gwiazdą, wcześniej zrobioną. A chodzi się nie tylko pierwszego i drugiego dnia Świąt Bożego Narodzenia, lecz także na Nowy Rok i Trzech Króli!

**Renata Grunert**
**Tykocin**
**6 stycznia 1990 –**
**Święto Trzech Króli**

**PS. Na zakończenie gorąca prośba! Kto zauważył leżący w domu lub na strychu, w sieni, obórce lub stodole stary zapisany atramentem zeszyt z piosenkami, niech położy go w bezpieczne miejsce i zawiadomi nas o swym znalezisku. A najlepiej – niech go nam pożyczy do wglądu, to znaczy prześle do redakcji „Świata Młodych" i nie zapomni podać swojego zwrotnego adresu – abyśmy mogli go właścicielowi zwrócić – za co ręczymy tykocińskim słowem honoru!**

Rys. **Kuba i Józek Markiewicz**

*Liderzy szkolnego boiska*

# DEZERCJI NIE BYŁO

**(Inf.wł.).** Trudno sobie wyobrazić ogólnopolskie zimowe igrzyska młodzieży bez drużyny dziewcząt z sokólskiej szkoły nr 2. Są w czołówce każdego finału „Błękitnej Sztafety". Jadwiga Krychniak (na zdjęciu w błękitnym kombinezonie), która opiekuje się reprezentantkami Sokółki, twierdzi, że inaczej być nie może.

Od swoich zawodniczek wymaga wyjątkowego hartu na treningach i waleczności podczas oficjalnych startów. Ale nie chce czynić z nich mistrzyń za wszelką cenę. Dziewczęta, którym nie spodobają się łyżwiarskie zajęcia, mogą zejść z lodu w każdej chwili i nigdy tam nie wrócić. Jednak pani Jadwiga nie przypomina sobie chociażby jednego przypadku dezercji. Jej podopieczne wiedzą bowiem dobrze, że dzięki trenerce mogą w sporcie sporo zwojować. Były już przecież mistrzyniami kraju nie tylko w „Błękitnej Sztafecie", ale wywalczyły wiele trofeów również na torze do jazdy szybkiej. A ponadto już dawno zauważyły, że ich nauczycielka najwięcej wymaga od... siebie. Cierpliwie i do skutku potrafi tłumaczyć i demonstrować każdy szczegół łyżwiarskiego abecadła, konsekwentnie dąży do raz wytyczonego celu. Trudno zawieść takiego pedagoga.

Warto dodać, że wszystkie sukcesy podopiecznych Jadwigi Krychniak zostały wypracowane na... zwykłej ślizgawce. Jest dobrze, kiedy mróz utwardzi wylewaną na boisko wodę. Na przygotowanym lodzie (to również praca nauczycieli i dyrektora szkoły – Zbigniewa Stackiego) mogą ćwiczyć i bawić się dosłownie wszyscy uczniowie. Zimy jednak ostatnio kaprysiły i mrozu brakowało nawet w Sokółce. Jak więc przygotowywały się tamtejsze łyżwiarki do wspaniałych występów w ogólnopolskich zawodach? Jeszcze raz okazuje się, że dla chcącego... **(zp)**

Fot. **Z. Przybyłowski**

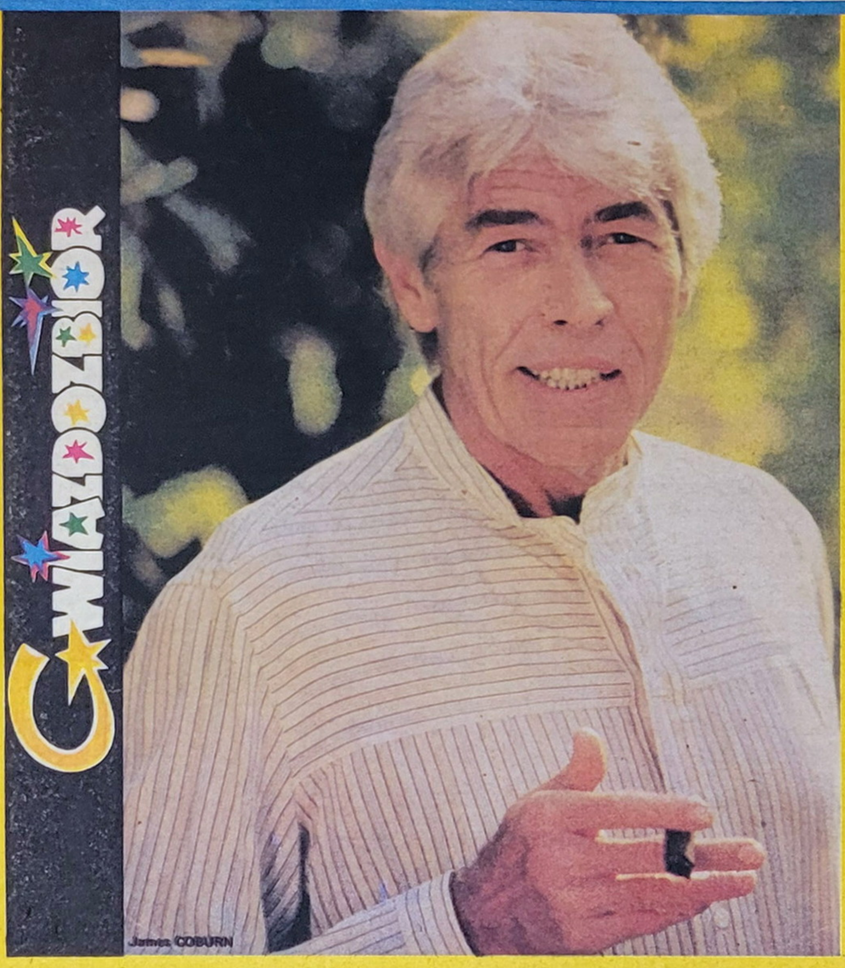


# JAMES COBURN

## - jeden z najwspanialszych

Po telewizyjnej emisji ,,Siedmiu wspaniałych" – filmu z 1960 r. zrealizowanego przez Johna Sturgesa zaczęły napływać listy z propozycjami, by przedstawić odtwórców jego bohaterów na naszych łamach. Są to Yul Brynner, Steve McQueen, Horst Buchholz, James Coburn, Charles Bronson, Robert Vaughan i Brad Dexter. Myślę, że przedstawianie całej siódemki byłoby przesadą, ale sylwetki kilku gwiazdorów z tego grona warto przypomnieć, tym bardziej że ich nazwiska wpisały się w historię kina nie tylko dzięki udziałowi w tym powszechnie znanym i nadal doskonale przyjmowanym przez publiczność westernie. Dziś proponuję spotkanie z Jamesem Coburnem, który jeszcze nigdy nie gościł w ,,Gwiazdozbiorze", a wśród wspaniałych zagrał niepokonanego mistrza noża. Niestety, zdjęciem sprzed 30 lat, gdy jego włosy jeszcze nie posiwiały – nie dysponujemy. Na szczęście specjalnie się nie zmienił.

Jeszcze słówko o filmie. Western ,,Siedmiu wspaniałych" to naśladownictwo dzieła znakomitego japońskiego reżysera Akiry Kurosawy pt. ,,Siedmiu Samurajów" (z 1954 r.). Oczywiście zamierzone. Dla Europejczyków i Amerykanów jest znacznie łatwiejsze w odbiorze od japońskiego pierwowzoru. Warto też wiedzieć, że w 1967 r. na ekrany amerykańskie wszedł film Burta Kennedy'ego pt. ,,Powrót siedmiu" oraz w 1969 r., w innej zgoła obsadzie, film Paula Wendhosa ,,Rewolwery siedmiu wspaniałych". Miały to być kontynuacje filmowego przeboju, ale nie dorównały mu poziomem i nawet w części nie zyskały takiego powodzenia jak obraz Sturgesa.

James Coburn urodził się 31 sierpnia 1928 r. w Nebrasce. W przededniu Wielkiego Kryzysu, który wstrząsnął Stanami, jego rodzina przeniosła się do Kalifornii. Spędził więc tam młodość jak typowy, amerykański chłopiec ze średniozamożnej sfery. W 1950 r. James wstąpił do armii i wziął udział w wojnie koreańskiej. Po powrocie do cywila zaś, wstąpił w Los Angeles do college'u, by ukończyć kurs sztuki dramatycznej. Chciał zostać aktorem, a w przyszłości także realizatorem filmowym.

Jego talent aktorski został szybko doceniony. Po pierwszym publicznym szkolnym przedstawieniu ,,wyłowili" go zawodowi teatralni agenci. Otrzymał główną rolę w sztuce ,,Billy Budd". Za honorarium James nabył samochód i... wyjechał nim do Nowego Jorku w poszukiwaniu prawdziwej kariery.

Zdobył kontrakt? – Tylko na występy w reklamówkach telewizyjnych. Ale pieniądze zarobione dzięki reklamowaniu elektrycznych golarek zainwestował rozsądnie. Poświęcił je na lekcje aktorstwa u słynnej Stelli Adler. Niewiele czasu było trzeba, by hollywoodzcy potentaci filmowi zainteresowali się nim. Zadebiutował u boku weterana westernów Randolphe Scotta w 1958, a w dwa lata później został zaproszony do ,,Siedmiu wspaniałych". Od tego momentu stał się jednym z najbardziej poszukiwanych aktorów hollywoodzkich (podobnie jak i jego współpartnerzy). Smukła sylwetka Jamesa, nonszalanckie ale pełne wdzięku ruchy, twarz spokojna, ale zdecydowana i sympatyczna składały się na obraz człowieka, który idealnie nadawał się do ról cyników, ale obdarzonych poczuciem humoru i dużym wdziękiem. Żeńska część publiczności uwielbiała go więc.

Polscy widzowie mogli oglądać Coburna w ,,Wielkiej ucieczce" (1962 r.), w ,,Majorze Dudee" (1964 r.), w ,,Pat Garrett i Billy Kid". Poznali go też jako filmowego realizatora. James Coburn współpracował ze świetnym reżyserem westernów, (przede wszystkim) Samem Peckinpahem przy realizacji filmu ,,Konwój".

Coburn rozstał się z żoną – Beverly Kelly, z którą ma dwoje dzieci – 32-letnią córkę Lizę i 29-letniego syna, Jamesa – juniora. Od tego czasu mieszka samotnie w swoim wielkim domu w Los Angeles. Jest oryginałem. Z przekonania buddysta, gdy przystępuje do medytacji, zaczyna grać na... gongu, ponoć swoim ulubionym instrumencie. Artysta twierdzi, że samotność jest mu potrzebna, by móc żyć szybko. Wciąż poszukuje nowych życiowych doświadczeń, uważa bowiem, że sztuczny raj, który mógłby sobie stworzyć jako człowiek bogaty, jest bardzo ograniczony. Coburn ma ,,filozoficzny" stosunek do życia, ale w pracy bynajmniej nie poddaje się łatwo żądaniom producentów i realizatorów. Jest bardzo uparty. Na szczęście sytuacja finansowa pozwala mu przyjmować wyłącznie te role, które naprawdę go interesują. – *Gdy ukończyłem czterdziestkę* – opowiada aktor – *uznałem, że nie powinienem gonić za sławą i sukcesem. Zdystansowałem się wobec zawodu i całego tego sztucznego świata, który z nim się wiąże.* Nie dziwcie się więc, że dziś występuje już bardzo rzadko. Ostatni jego film, o którym słyszałam, nakręcił już trzy lata temu w dalekiej Australii. Nosi on tytuł ,,Śmierć żołnierza".

**EWA BIELSKA**

Szarlota Pawel Company,
Corporation and Cooperation
przedstawia

# PIÓRO KONTRA FLAMASTER
## czyli efekty naszej giełdy

*Droga Redakcjo! Interesuję się wędkarstwem. Moim ulubionym aktorem jest A. Schwarzenegger. Jeśli chodzi o muzykę, to najbardziej odpowiada mi Italo Disco, a także Jean Michel Jarre.*

*Ale najbardziej lubię komiks, a zwłaszcza jego rysowanie. Kiedyś, gdy przeczytałem, że istnieje możliwość przesłania swoich prac do „ŚM", to od razu wziąłem długopis, kartkę i przerysowałem kilka moich obrazków. Bardzo słusznie, Redakcjo, skrytykowałaś te świstki. Teraz wiem, w czym muszę się poprawić. W czytelności rysunku. Mam to ciągle w głowie przy rysowaniu. Wyrzuciłem długopis. Kupiłem sobie tusz, piórko i ciągle próbuję. Na pewno nie od razu nauczę się rysować lepiej. Ale mam nadzieję, że kiedyś moje dzieła będą leżały na półkach miłośników komiksów. To są moje wielkie marzenia.*

*Wysyłam kilka arkuszy z moimi pracami. Trzystronicowy komiks „Misja" jest ostrzeżeniem ludzkości przed ciągłymi zbrojeniami. Spróbowałem w nim przedstawić wizję świata po wybuchu jądrowym. Scenariusz oparłem na fantastycznym opowiadaniu **Arkadiusza Olecha z Pruszcza Gdańskiego** pod tym samym tytułem. Chciałbym bardzo nawiązać z nim kontakt. Arkadiuszu! Jeśli czytasz „ŚM", to odezwij się. Mój adres zna redakcja.*

*Gorąco wszystkich pozdrawiam!*

***Krzysztof Kucharczyk, 15 lat***
***Morzyce***

**● Bardzo się cieszymy, że Krzysztof wziął sobie do serca nasze uwagi. Dobrze, że tak poważnie podchodzisz do realizacji swoich marzeń, bo już widać efekty. Twój komiks jest dobrze rozplanowany i skomponowany, poprawnie wykonany. Z przyjemnością, dla zachęty, reprodukujemy jego pierwszą stronę.**

**Nadal musisz dużo pracować. Swoich bohaterów szkicuj w ruchu, w różnych pozach i ujęciach, w różnych planach. Staraj się oddawać w rysunku wszystkie elementy postaci ludzkiej, a nie tylko te, które najlepiej Ci wychodzą. Widzimy, że masz zacięcie satyryczne – na podstawie pojedynczych rysunków, które przysłałeś. Nasza rada: obserwuj samodzielnie swoje otoczenie i z tych obserwacji czerp tematy do rysunków.**

**W każdym razie zrobiłeś duże postępy i życzymy Ci ich nadal.**

**Cdn.**

# WIELKA WYPRAWA „ZAWISZY CZARNEGO" (I)

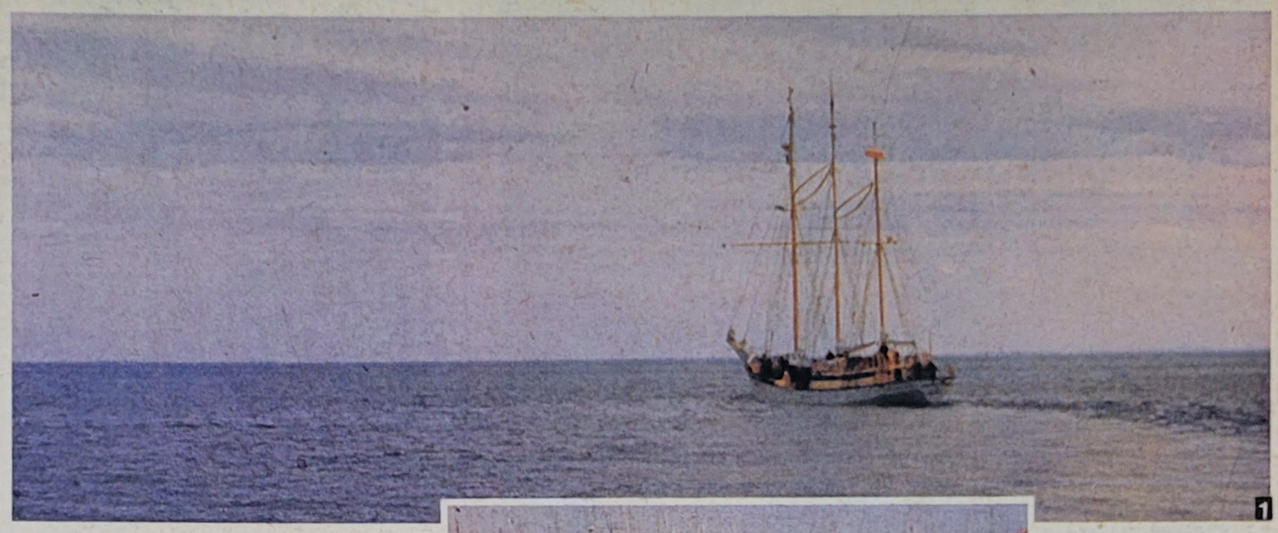
1

2

Na zdjęciach:

*1. Przed nimi ocean. Długie dni wypełnione monotonnymi, podobnymi do siebie wachtami i świadomością, że tam, za „wielką wodą"...*

*2. Na jachcie zawsze jest coś do zrobienia – klarowanie lin, czyszczenie, malowanie.... Wachta służbowa nawet w porcie ma pełne ręce roboty*

Flagowy jacht Związku Harcerstwa Polskiego s/y „Zawisza Czarny" kontynuuje najdłuższą w swej historii podróż – rejs dookoła świata. To już co prawda drugi załogowy rejs harcerski po „wielkim kręgu", ale pierwszy na trudniejszej trasie z zachodu na wschód – przeciw morskim prądom i wiatrom.

„Zawisza" wypłynął z Gdyni w marcu ubiegłego roku z pierwszą zmianą harcerskiej załogi, by po miesięcznej podróży dokoła Europy zawinąć do greckiego portu Pireus. Pół roku temu zamieściliśmy na łamach „Świata Młodych" cykl korespondencji z tego etapu wielkiej podróży. Przypomnijmy więc krótko, że po przebyciu Morza Śródziemnego z następną już załogą harcerski jacht przepłynął Kanał Sueski, Morze Czerwone, Ocean Indyjski. Na zawsze zostały uczestnikom w pamięci piaszczyste brzegi Egiptu, egzotyczne tchnienie afrykańskiego lądu, wspaniały Cejlon.

Kolejnym portem etapowym był Singapur – miasto historii, a zarazem centrum nowoczesności. Stąd z trzecią już załogą pożeglował „Zawisza" w kierunku równika. Była to jedyna okazja na trasie całego rejsu, aby powitać Neptuna z całą jego świtą i odbyć tradycyjny morski chrzest równikowy. Potem były Chiny – jacht odwiedził Tajwan i Szanghaj. A na początku lipca, przepłynąwszy Morze Żółte, harcerski flagowiec zawinął do Nampho, koreańskiego portu w pobliżu Phenianu – stolicy Korei Północnej. Tam jego załoga wzięła udział w międzynarodowym XIII Festiwalu Młodzieży i Studentów, a jacht pełnił rolę klubu i centrum kulturalnego polskiego delegacji.

Następny, czwarty już etap podróży można nazwać etapem japońskim. Członkowie załogi podziwiali rozmach japońskiej gospodarki i techniki – odwiedzili prawie wszystkie większe wyspy tego kraju. W rocznicę zrzucenia pierwszej bomby atomowej brali udział w uroczystościach w Hiroszimie.

Potem była Nachodka – radziecki port w pobliżu Władywostoku. To tu wsiadła na statek załoga piątego etapu rejsu. Jej zadaniem jest doprowadzenie żaglowca aż do Hawany. Po drodze trudne przejście przez północny Pacyfik, a potem porty zachodniego wybrzeża Kanady, USA, Meksyku, Kanał Panamski i Morze Karaibskie. Ale trzeba było zacząć od generalnego remontu „Zawiszy". Przez prawie miesiąc przygotowywano jacht do oceanicznego „skoku". Trzeba było naprawić wszystko to, co odmówiło posłuszeństwa podczas półrocznego pobytu na morzu, gruntownie odmalować burty i pokład oraz oczyścić mechanizmy.

Jak wynikało z telegraficznych doniesień nadsyłanych przez oficera programowego V etapu, druha Andrzeja Kuczerę, w przerwach między tymi pracami załodze wystarczyło czasu na zwiedzenie Władywostoku, z którym związane są początki harcerskiego żeglarstwa. To tutaj żeglował słynny Hufiec Syberyjski, założony w 1917 roku, składający się z dzieci zesłańców polskich. Załoga „Zawiszy" wzięła również udział w wyprawie do syberyjskiej tajgi, gdzie uczestniczyła w bezkrwawych łowach na... tygrysy.

W końcu września ubiegłego roku harcerski jacht wyruszył z Nachodki na Pacyfik i... na wiele tygodni słuch o nim zaginął. Dopiero teraz otrzymaliśmy korespondencję od druha Kuczery, nadesłaną już z amerykańskiego brzegu. Wszystko jest w porządku, choć podróż obfitowała w wiele dramatycznych przygód – jesienią Pacyfik jest „wylęgarnią" groźnych cyklonów. Jeszcze „ciepłe" relacje z tych przygód, w tym opowieść o tym, jak „Zawisza" przetrwał spotkanie z cyklonem „Colleen", zamieścimy w następnych numerach.

**OLGIERD LEWAN**
Fot. **autora**

- 100 LAT ZAWODOWEGO HOKEJA
- OJCIEC I SYN W JEDNYM ZESPOLE
- NHL - LIGA GWIAZD

# Gubernator miał rację

1

Kanadyjczycy uważają się za twórców hokeja. Przeczą temu Irlandczycy. Mówią, że jego początków należy szukać w ich ojczyźnie. Do sporu włączyli się Holendrzy, którzy są przekonani, że właśnie oni wynaleźli grę gumowym krążkiem. Pokazują nawet dowód rzeczowy: obraz (z 1700 roku) pewnego malarza z Amsterdamu, przedstawiający łyżwiarzy trzymających zakrzywione kije. Jeszcze inną wersję narodzin hokeja głoszą Anglicy...

Nie ulega jednak wątpliwości, że największą popularnością cieszy się on w Kanadzie. Tam też sformułowano podstawowe przepisy, rozegrano pierwsze mecze i turnieje, zorganizowano ogólnokrajową ligę. Zawodnicy z klonowym liściem na piersiach przez wiele sezonów stanowili niedoścignony wzór i byli srogimi nauczycielami dla europejskich zespołów. W latach 1924-61 mistrzostwo świata zdobywali aż 18 razy. Te sukcesy dotyczą drużyny amatorskiej. Zawodowcy są znacznie skuteczniejsi.

Wyjechali na lód pod koniec ubiegłego stulecia. Najważniejszym dla nich trofeum jest Puchar Stanleya, który w roku 1892 ufundował generalny gubernator Kanady – lord Stanley of Preston. Szef państwowej administracji słusznie przewidywał, że zakupiona przez niego nagroda będzie w przyszłości przedmiotem marzeń zespołów z całej Ameryki Północnej. W roku 1917 rozpoczęły się bowiem rozgrywki zawodowej ligi NHL (National Hockey League) o Puchar Stanleya, do których przystąpiły później drużyny z USA.

Mecze należących do NHL drużyn słyną nie tylko z wysokiego poziomu gry. Stanowią ogromne widowiska rozrywkowe, gdzie obok głównych bohaterów – hokeistów można podziwiać popisy pięknych tancerek, żonglerów, orkiestr i innych grup bawiących publiczność. Kibice obu drużyn dosłownie prześcigają się w przechwalaniu, reklamowaniu i zachęcaniu do walki swoich idoli. W potężnych halach króluje więc nastrój ludowego pikniku i zarazem sportowego święta. O bilety (kosztują sporo) jest niezwykle trudno. Niemal cztery piąte wejściówek sprzedaje się w rocznych karnetach. Jest tylu chętnych do ich nabycia, że tworzy się specjalne listy. Ale pierwszeństwo w zakupie mają widzowie, którzy... posiadali karnety w latach poprzednich.

2

Zawodowcy (tak jak zresztą we wszystkich dyscyplinach) przyjmują do swojego grona tylko najlepszych graczy. W kanadyjskich i amerykańskich zespołach można zobaczyć wielu asów również z Europy: ze Szwecji, Finlandii, Czechosłowacji, a ostatnio z ZSRR. Dzięki tym wirtuozom kauczukowego krążka hale Calgary, Detroit, Nowego Jorku, Edmonton, Los Angeles, Toronto, Montrealu... są przepełnione zawsze.

Niemal każdy zespół posiada w swoich szeregach wybitną gwiazdę, która kieruje grą, strzela gole, wabi kibiców. Do najsławniejszych należy Gordie Howe, kapitan Rod Wings z Detroit. Grał w drużynie przez 25 sezonów! W 1687 meczach strzelił 801 goli. Warto dodać, że obok Howe-seniora występowali (również w reprezentacji kraju) jego dwaj synowie – Mark i Marty. Tata zakończył karierę w wieku 47 lat. Ogromną skutecznością popisywał

CIĄG DALSZY NA STR. 7

**Na zdjęciach:**
***1. W roku 1972 doszło do pierwszych pojedynków kanadyjskich zawodników z zespołami radzieckimi. Częściej zwyciężali profesjonaliści***
***2. Gordie Howe był hokeistą oburęcznym. Strzelał gole w wyjątkowo trudnych sytuacjach***

# DOBRY JAK

Adam Chmielowski, kanonizowany na świętego przez papieża Jana Pawła II w dniu 12 listopada ubiegłego roku, urodził się w 1845 roku w Igołomi niedaleko Krakowa w zubożałej rodzinie ziemiańskiej. Osierocony wcześnie przez rodziców wychowywany był przez krewnych, którzy zaopiekowali się nim i trojgiem jego rodzeństwa.

Jako osiemnastolatek stracił nogę w powstaniu styczniowym w 1863 roku. Amputowano mu ją, kiedy będąc ranny trafił do niewoli. Miał szczęście, że go nie dobito. Wykupiony z niewoli musiał się schronić za granicą przed popowstaniowymi represjami. W Paryżu wykonano dla niego protezę z gutaperki. Służyła mu przez wiele lat i to tak dobrze, iż będąc studentem Akademii Sztuk Pięknych w Monachium mógł nawet jeździć na łyżwach. Przyjaźnił się w tym okresie najbliżej ze studiującymi tam polskimi malarzami – Józefem Brandtem i Maksymilianem Gierymskim. Do Polski powrócił jako dojrzały artysta – malarz. Zatrzymał się w Warszawie. Klepał biedę w skromnej pracowni razem z Józefem Chełmońskim, Stanisławem Witkiewiczem i Antonim Piotrowskim. Przyjaźnił się z Heleną Modrzejewską. To ona napisała o Adamie Chmielowskim:

*Święty Brat Albert z symbolicznym bochnem chleba w dłoniach. „Każdemu głodnemu dać jeść, bezdomnemu miejsce, a nagiemu odzież" – przypominał swoim braciom. Obraz przedstawiający Brata Alberta namalowała s. Lidia Pawełczak*

*Adam Chmielowski – student i malarz*
Fot. **arch.**

---

*„Chodzący wzór wszystkich cnót chrześcijańskich i głębokiego patriotyzmu, prawie bezcielesny, oddychający poezją, sztuką i miłością bliźniego, natura czysta i nie znająca egoizmu".*

Wystawiał swoje obrazy w Zachęcie, publikował artykuły na temat sztuki. Uważał, że jej istotą „jest dusza wyrażająca się w stylu". Potem, po powrocie z Włoch, osiadł we Lwowie, by być bliżej rodziny, która wówczas mieszkała na Podolu. Teraz dzielił malarskie atelier z Leonem Wyczółkowskim, tutaj namalował swój najbardziej religijny obraz, przedstawiający Chrystusa w cierniowej koronie – *Ecce Homo*.

Nie malarstwo było jednak przeznaczeniem Adama Chmielowskiego, na pewien czas przywdział habit jezuity, ale nie znalazł tu dla siebie miejsca. Po ciężkiej depresji psychicznej rozpoczął podróże po Podolu, odnawiał stare obrazy w kościołach, namawiał do stosowania reguły „biedaczyny z Asyżu" – św. Franciszka. Władze carskie uznały jego agitację za podejrzaną i poleciły mu opuścić ziemie cesarstwa rosyjskiego.

Jesienią 1884 roku przyjechał do Krakowa. Przebywał w gronie malarzy, odwiedzał salony, należał do świata artystycznego miasta, ale nade wszystko dostrzegał inne strony życia. Włóczędzy, ulicznicy, żebracy, głodni i obdarci, wykolejeni, z którymi los obszedł się brutalnie, coraz bardziej przyciągali jego uwagę.

Prawdopodobnie w styczniu lub lutym 1887 roku wprost z balu w pałacu „Pod Baranami" w towarzystwie innych elegancko przyodzianych panów zjawił się w tak zwanej miejskiej „Ogrzewalni". Znajdowała się ona wtedy w żydowskiej dzielnicy Krakowa, na Kazimierzu. Pomieszczenie utrzymywane przez władze miejskie miało dawać dach nad głową tym, co własnego nie posiadali. Panował tu potworny zaduch, brud, rządziło prawo silniejszego.

Sceny rozgrywające się w „Ogrzewalni" były ostatnim argumentem do drążących go od dawna myśli. Podjął decyzję, że powróci do tych włóczęgów i będzie im służyć, gdyż potrzebują tego.

Przybrał imię: Brat Albert, przywdział szary habit przepasany prostym sznurem, by posługując ubogim nie wyróżniać się wyglądem.

**„Tylko katolicki zakon** – pisał potem do kardynała Dunajewskiego – **którego członkowie posiadaliby odpowiednie uzdolnienia, a z czysto nadnaturalnych pobudek przez śluby zakonne wyrzekli się wszystkiego co ziemskie, tacy tylko stanowiliby dostateczną siłę do tak ciężkiego społecznego zadania"**. Śluby zakonne złożył 25 sierpnia 1888 roku, a w listopadzie tego samego roku podpisał umowę z magistratem Krakowa, z której wynikało, że: *Brat Albert zobowiązuje się w dzień i w nocy w lokalu ogrzewalni miejskiej sam lub jeden z jego towarzyszy stale przebywać".* Do jego grona dołączyl inni, tworząc Zgromadzenie Braci III Zakonu św. Franciszka Posługujących Ubogim (Albertynów). Władze miasta zezwoliły na urządzanie kwesty, zapewniając sobie wszakże kontrolę nad czynnościami Brata Alberta. Miał odtąd żywić najbiedniejszych, stając się ojcem nędzarzy.

Postarał się o konia, wózek i najpierw zajechał na plac Szczepański, gdzie swoje stragany rozłożyły krakowskie przekupki. Hojność ich okazała się wielka, przerosła wręcz oczekiwania wzruszonego kwestarza. Z ofiarnością bywało jednak różnie, niektórzy sarkali, a i sam Brat Albert zdawał sobie sprawę, iż żyjący z datków „przyzwyczajają się do nieróbstwa". Uważał, że praca ma zbawienny wpływ na przywrócenie człowiekowi godności osobistej. Zabiegał zatem, aby swoim biedakom stworzyć warsztaty pracy. I dokonał tego, jego podopieczni zaczęli fabrykować meble gięte i, jak donosiła krakowska prasa, *„Bracia Tercjarze zaprzestają odtąd kwesty miejskiej".*

W sprawozdaniu napisanym przez Brata Alberta w 1892 r. czytamy: **„Człowiek, który dla jakichkolwiek powodów jest bez odzieży, bez dachu i kawałka chleba, może już tylko kraść lub żebrać dla utrzymania życia, w tym bowiem nędznym stanie do pracy nie jest zdolny, ani mu też łatwo pracę znaleźć przychodzi. Jeżeli więc nie ma w mieście dla poratowania takich odpowiedniego zakładu, zostaje tylko do zastosowania względem nich działanie**

62

MARIA BOROWA

# OGRODY

– To my idziemy – powiedział Marek. – Do widzenia.

– Zagórski wrócił – padło od płotu. – Z dzieciakami. Dogadałeś się z tym?.. – Był przeciwny porozumieniu. Wiedzieli to.

– Dlaczego pan się mnie czepia? – Jerzy mówił spokojnie, celowo obraźliwie. – Nie ten kolor oczu, który pan lubi? – zadrwił.

– Bezczelność. Dogadałeś się? – Mężczyzna pytał tylko Marka.

– Tak.

– Taak... – przeciągnął stary. Nie był zaskoczony. Przyjdź jutro sam. Może i my się dogadamy.

– Jest panu potrzebny, co? – spytał złośliwie Jerzy. – Tamtym też. – Pracował rzetelnie na swoją opinię, a mógł sobie pozwolić, skoro sprawa Marka przeszła.

– Głupi gówniarz – mężczyzna postanowił zapanować nad złością. – Jemu są potrzebni ludzie. Spytaj go, czy nie mam racji. Rozumiesz, dlatego gadałeś w jego imieniu. Nawet ładnie... – uśmiechnął się lekko. Jerzy się zmieszał. – A teraz się wynoś.

– On udaje – odezwał się Marek. – Już taki jest... – stanął pomiędzy nimi – i ma rację: przyszedłem załatwić interes. Też mam zdolności – zwrócił się do Jerzego. – Czasem liczę.

– Ale nie beznamiętnie? – zakpił Jerzy. – Z uczuciem do czegoś obok.

– Zawsze jest jakieś uczucie do tego, co robimy. W tym, co robimy. Twój bunt, pana niechęć. Zgadza się pan ze mną? – spytał Ziębiewicza.

Stary się nie odezwał. Jerzy patrzył na Marka z dziwnym wyrazem twarzy.

– Przyjdziemy jutro – powiedział Marek. – Masz czas, Jerzy? Jeżeli pan go nie chce, zostanie... gdzie indziej. To mój kolega, mówiłem. Jest dobry jak zawodnik. Można na niego postawić. Do widzenia.

Te ogrody były inne. Nie było w nich naszego, Piotra i mojego muru, tamtych drzew i zapachów. Klimatu. Motyla też nie było. Apollo niepylak, powiedział Piotr. I jeszcze, że śmieszny...

Nieprawda. To był piękny motyl, ale został w tamtej alei. Tu, zamiast muru, rośnie żywopłot. Za nim krzaki czarnych porzeczek. Stojący przy nich stary człowiek popatrywał na mnie ukradkiem. Potem odszedł, a ja powiedziałam, że chcę zostać sama. I że przepraszam, to śmieszne, wiem.

– Wcale nie dziwactwo – zaprzeczyła Teo. Znalazła właściwe słowo. – Też nieraz chcę być sama. Jak się pokłócę z Filem. Pokłóciliście się? – Patrzyła zaczepnie na Jerzego. Nie zdążyła go polubić. ON – i małe ludziki odwrócone plecami do maszerujących w tle dużych, męskich nóg.

– Nie – odpowiedział za Jerzego Marek. – Ona chce tylko przyjrzeć się ogrodom.

– Dobra – zgodziła się Teo. – Ale to nieprawda. Do oglądania nie musiałaby nas wyrzucać. Myślisz że... – Była już na ścieżce. Potem dobiegły mnie odgłosy energicznych skoków ze skomplikowanym przytupem.

Tupanie było wyrazem żalu i pretensji. Lubiłyśmy się, ale czasem jedna nie rozumiała drugiej. Fil odwrócił głowę i szybko zabrał ze mnie wzrok. Wrócił do nich, jak sobie tego życzyłam.

Szli do domu, duzi i mali, dwa na dwa. Trzech na jedną. Cztery indywidualności. Czasem myślałam, że Teo... Dlatego, że była jak ja dziewczyną. Podobnie odbierałyśmy świat. Nawet kolory miały te same odcienie.

Teofil urósł i wydoroślał. Fil okrzepł trochę. Dziwne, że zmartwienia wpływają czasem pobudzająco. Niczym deszcz, florowit, proporcjonalnie wymieszane nawozy sztuczne. Ci mali ludzie nie mówią o matce ani o Janie. To znaczy starają się nie pytać. Czekają. Wierzą, że wszystko musi być w świecie na swoim miejscu, zatem i one prędzej czy później zajmą swoje miejsce. Sprawa polega tylko na czasie.

Skrzypią schody, trzaskają drzwi, szurają odsuwane krzesła. Odchodzi i wraca słońce, z kranu kapie woda, paruje gorące mleko. Małe ludziki czekają. Tymczasem wywołują duchy.

– Malwinka wyjechała za Granicę – informuje najcichszym, konspiratorskim głosem Teo. – Nie można do niej pisać. Jana jest w Krakowie. Daleko ten Kraków? Na mapie bliziutko. Pani Jackowska nagadała, że Jana pewnie kogoś ma. Nas też miała, nie musiała szukać.

Teo chce napisać – narysować dwa listy. Niech Marek poprosi tatkę o adresy. Ten za Granicą i ten w Krakowie. Uparł się i nie chce ich dać.

Nie wiem, co będzie, kiedy Teofil przestanie wierzyć i czekać, a zacznie pytać.

Jan Zagórski szuka gospodyni. Nie chce pani Jackowskiej z narzeczonymi na fotografiach ułożonych w wachlarz. Pewnie jednak będzie musiał się z nimi pogodzić. Nie wiedziałam, że ojciec Teofila jest stary, pobrużdżony na twarzy, siwy. Nata go lubi, zaprzyjaźnili się nawet. Poznała go w sklepie. Poradziła, co kupić dzieciom na kolację. Wracali potem do domu i rozmawiali.

Nata przychodzi tu czasem ze mną. Kiedy jest pogoda, zostajemy w ogrodzie – my troje i Teofil, a oni, Nata i pan Zagórski, odchodzą do swoich ważnych rozmów i spraw. Zlękłam się, że Nata... Ona i ten stary, zagubiony człowiek? Nonsens. Dobrze, że o nic nie pytałam. Już wiem, że to pomyłka. Mam dowód.

Wieczorami Nata wychodzi z domu. Rzadko, ale zaczęło się zdarzać. Idzie do teatru, na koncert... Nie pytam z kim, ona nie mówi. Może sama?.. Kiedy chcę, opowiada mi, co widziała i słyszała. Jest w porządku. To wspaniale – mówię. Sprawdziłam: Jan Zagórski był w domu.

Kiedy Nata planuje wyjście wieczorem, Marek zostaje ze mną dłużej. Odrabiamy razem lekcje. Czasem dzwonimy do Jerzego. Albo Jerzy... Nigdy wtedy, gdy jestem sama. Nie pytam, dlaczego. Jesteśmy zawsze we troje albo tylko ja z Markiem. Zaprogramowany przez Jerzego układ. Nie wiem, jakie pobudki nim kierowały. Jerzy jest... dziwny.

Cdn.

# CHLEB

**policji, sądów, więzień lub szpitali. Takie zaś zastosowania są na tyle fałszywe, na ile w skutkach ujemne. Jeżeli człowiek jest już poratowany, trzeba mu bezpośrednio otworzyć furtkę wyjścia z nędzy, inaczej bowiem prawie i nie warto go ratować. Stać się zaś to może tylko przez pracę, którą wtedy podsunąć i ułatwić trzeba, a już najlepiej pracę zarobkową, bo nadzieja samodzielnego zarobku jest tu uczciwym, a do pracy i pilności dostatecznym zwykle motorem. Inicjatywa i wolność osobista to rzeczy każdemu człowiekowi najdroższe, które w działaniu dobroczynnym koniecznie uszanować trzeba".**

Rada miejska domagała się od Brata Alberta, by zaopiekował się również funkcjonującą w Krakowie „ogrzewalnią" dla kobiet. Dobroć bywa zaraźliwa – znalazły się pragnące oddać swoje życie służbie bliźniego kobiety. Siostry Posługujące Ubogim rozpoczęły oficjalnie swoją działalność 15 stycznia 1891 roku. Dawne ogrzewalnie zostały wyremontowane i otrzymały nazwę – jakże serdeczną w swojej wymowie: przytuliska. Aby od nędzarzy pragnących się pomodlić nie odsuwano się w bogatych kościołach, Brat Albert utworzył w przytuliskach kaplice, w pomieszczeniach sypialnych schronisk zawiesił obrazy Matki Boskiej Częstochowskiej.

Opiekę nad ubogimi zorganizował w wielu miastach, między innymi we Lwowie, Przemyślu, Sokalu, Tarnowie, Stanisławowie, Jarosławiu. Wiele w tym celu podróżował, nieraz trzeba go było wynosić z przedziału kolejowego, gdyż jego proteza, już wykonana z metalu, przez brata – kowala, czesto go zawodziła. Tamtą dobra z gutaperki zniszczył mu złośliwy złodziejaszek.

**„Zrobiłem spostrzeżenie – pisał Brat Albert – że zbiorowy rozum nie jest nawet tak wielki, jak rozum zwykłego chłopa na wsi. Chłop nigdy nie odmówi proszącemu noclegu i chleba, bo wie, że może go z zemsty podpalić. Społeczeństwo zdaje się nie myśleć o tym, że mnoży podpalaczy, którzy szkodliwi są już pojedynczo, w wielkiej zaś masie mogą stać się niebezpieczni.**

**Ale nie naszą sprawą jest badać kwestie społeczne. Robimy co najpilniejsze, wykorzystując miłosierdzie" – dodawał.**

Jedni traktowali go z najwyższym szacunkiem, wiedząc, kim jest ten szaro odziany Brat, inni mieli go za „dziada". On tymczasem nawoływał do skromności: *„żadnych obrazów, dywanów, i wszelkich tym podobnych elegancji, zabraniam, ma być najubożej."* Dla sióstr wątpiących, czy starczy im dość hartu, by podołać ciężkiej pracy i wyrzeczeniom, miał serdeczne słowa otuchy: *„Ten jest dobry, kto chce być dobry"* – pisał do siostry Bernardyny, pierwszej przełożonej generalnej ss. albertynek, z którą współpracował od 1896 roku.

Otoczył opieką najuboższe dzieci. Krakowski „Czas" z dnia 11 lipca 1913 roku donosił: *„Jutro lub w poniedziałek gmina miasta Krakowa wysyła około 40 dzieci ze swych zakładów wychowawczych do kolonii letniej w Zakopanem, gdzie będą pomieszczone w domu Brata Alberta (w lesie w Kalatówkach)"*. W tej sprawie zachował się też list Brata Alberta skierowany do brata Leona Mazurkiewicza, aby wysłał duży wóz z półkoszkami po rzeczy i młodsze dzieci, a przedtem przygotował dla nich posłania i kolację.

Brat Albert zakończył swoje pracowite życie 25 grudnia 1916 roku. W uroczystościach żałobnych brali udział profesorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego, prezydent miasta, przedstawiciele gminy żydowskiej, nieprzeliczone rzesze mieszkańców. *Bratu Albertowi, wiernemu słudze bożemu, ojcu ubogich i nędzarzy* – jak napisano na mogile – biły wszystkie krakowskie dzwony...

Teraz prochy świętego Brata Alberta znajdują się w ołtarzu kościoła Ecce Homo, którym opiekują się siostry albertynki w Krakowie przy ul. Woronicza 10. Tutaj też jest jego obraz przedstawiający Chrystusa w cierniowej koronie. Wśród wielu pamiątek pozostałych po tym Polaku, nazywanym drugim św. Franciszkiem z Asyżu, jest i jego metalowa proteza.

Do furt braci i sióstr Posługujących Ubogim każdego dnia dzwonią głodni. Nikt nie odejdzie nie nakarmiony, nikomu nie odmówią tu kawałka chleba, jeśli zabraknie gorącej strawy. Siostry albertynki pracują w 72 placówkach na terenie całej Polski i we Włoszech, USA i Argentynie. Opiekują się bezdomnymi, niedołężnymi, kalekami, umysłowo upośledzonymi, niepełnosprawnymi dziećmi. Dawne przytuliska są domami opieki, w których siostry pełnią posługę opiekuńczą. Narastająca nędza fizyczna i moralna, rosnące zjawisko ludzi dotkniętych nałogiem pijaństwa i narkomanii – wszystko to woła o otwarcie nowych przytulisk Brata Alberta.

**ANNA GRZYBOWIECKA**

(z serdecznymi słowami podzięki siostrze Franciszce ze Zgromadzenia ss. Albertynek w Krakowie, za rozmowę i gościnę)

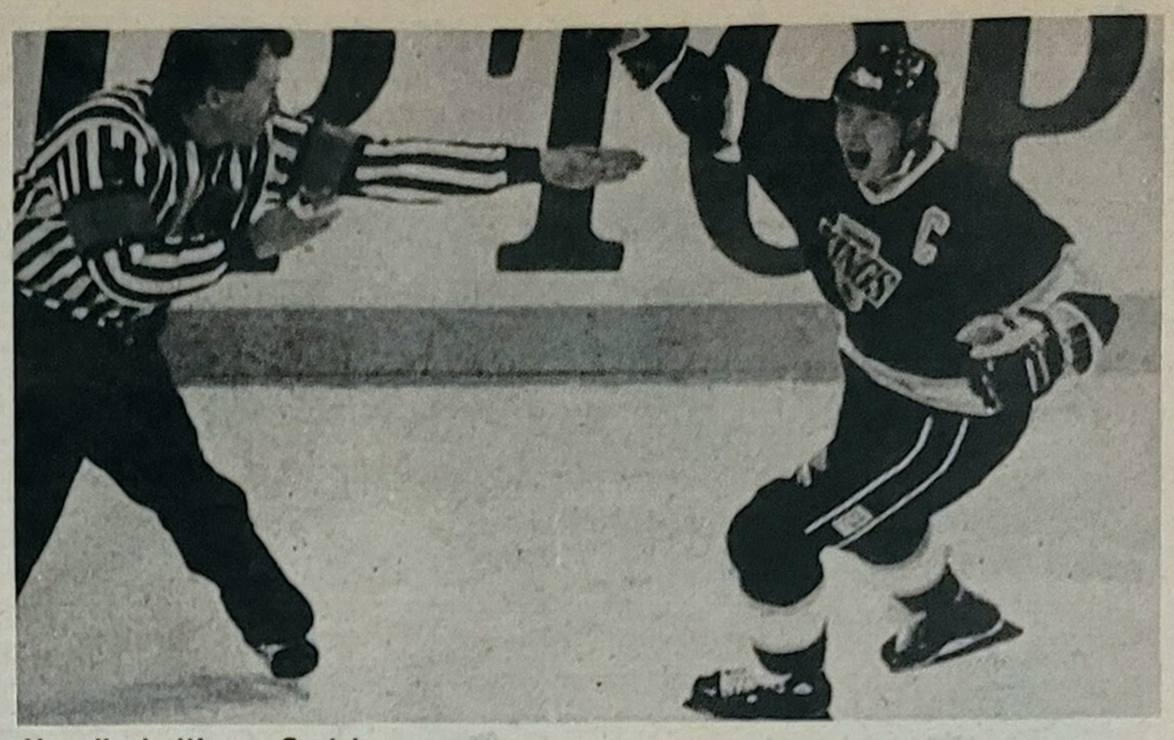

***Na zdjęciu Wayne Gretzky***

CIĄG DALSZY NA STR. 4-5

## Gubernator miał rację

się też napastnik Black Hawks Chicago – Bobby Hull. Znajdującą się za bramką rywali lampkę „zapalał" aż 604 razy. On również bronił barw Kanady w mistrzostwach świata (w roku 1974 dopuszczono do MŚ także zespoły, w których występowali zawodowcy). Do podobnych im fenomenów zaliczyć można doskonałego dryblera i snajpera Maurice Richarda (Canadens Montreal) oraz Philipa Esposito (Bruins Boston).

Jednak zawodnikiem nr 1 w dotychczasowej historii hokeja jest Wayne Gretzky, który twierdzi, że w jego żyłach płynie sporo polskiej krwi. Do niedawna bronił barw Edmonton Oilers. Teraz gra w Los Angeles Kings. Skuteczność Gretzky'ego jest wprost zdumiewająca. Wspomniany już Howe występował w NHL od 1948 do 1974 roku. Jego bramkowy rekord wynosił 801 goli, co łącznie z tzw. asystą (w hokeju punkty przyznaje się współautorowi strzelonej bramki – zawodnikowi, który podał krążek zdobywcy gola) zapewniło mu 1850 pkt. Wydawało się, że osiągnięcie byłego reprezentanta Rod Wings nie zostanie poprawione. Jego kariera trwała przecież 25 lat. Ale Wayne Gretzky niezwykle szybko uporał się z rekordem znakomitego poprzednika. Warto zaznaczyć, że stało się to w meczu przeciw jego dawnej drużynie „Nafciarzy" z Edmonton i na własnym jej boisku. Dzięki celnemu trafieniu Oilers doznało porażki, ale miejscowi kibice potrafili nagrodzić owacjami wyczyn kapitana Kings. Nadali mu też przydomek „Best" (najlepszy).

Gretzky gra w NHL 11 lat. W minionych sezonach zawsze znajdował się na pierwszym miejscu wśród snajperów ligi, ale w tym roku wyprzedził go Mario Lemieux z Pittsburgha. Dzięki temu Lemieux zarobił aż dwa i pół miliona dolarów. „Best" zainkasował „zaledwie" 2 miliony. Ale skoro piszemy o pieniądzach, warto dodać, że hokeiści NHL zarabiają znacznie mniej od zawodowych piłkarzy czy bokserów. Przeciętna pensja (roczna) średniej klasy gracza wynosi około 300 tysięcy „zielonych". Tyle otrzymują też (minus podatek, 25 procent) radzieccy zawodowcy, którzy niedawno „wyemigrowali" do Kanady. Starcza im na opłacenie domu, zakup luksusowego samochodu, spokojny byt. Zdają sobie jednak sprawę z tego, że dalsze zarobki uzależnione są tylko od poziomu gry, jaki będą prezentować w przyszłości, od ewentualnych sukcesów w rywalizacji o Puchar Stanleya. To trofeum jest dla zawodowych hokeistów ważniejsze od tytułu mistrza świata. **(zp)**

## Muzeum perfum

W mieście Grasse, na południu Francji, otwarto muzeum perfum – pierwsze tego rodzaju na świecie. Głównym celem ekspozycji jest przedstawienie historii produkcji perfumeryjnej, od czasów antycznych do współczesnych.

Grasse wybrane zostało przez wiele firm perfumeryjnych Francji i innych krajów nieprzypadkowo. Uważane jest ono za perfumeryjną stolicę Francji. **(jz)**

## UŚMIECH NUMERU

**IKSIŃSKI pyta Mądralę:**

**– Dlaczego ten przechodzień zatrzymuje się na każdym narożniku?**

**– A, to nasz sąsiad... Jest żywym przykładem siły przyzwyczajenia: dziesięć lat chodził tą trasą na spacer ze swoim psem.**

★

**W PIERWSZEJ klasie nauczyciel mówi:**

**– Macie siedzieć tak cicho, żeby było słychać, jak będzie leciała mucha!**

**Dzieci siedzą jak trusie, wreszcie jedno nie wytrzymuje i mówi:**

**– Proszę pana, niech pan już wreszcie wypuści tę muchę!**

ŚWIAT NA 2 KÓŁKACH

# BMW K 75 S

CIĄG DALSZY ZE STR. 8

liwie pojedynczy wahacz koła tylnego, stanowiący jednocześnie obudowę przekładni głównej oraz wału napędowego.

Motocykl z przodu zawieszony jest na typowym widelcu teleskopowym z tłumikami hydraulicznymi podwójnego działania. Wewnątrz górnych osłon teleskopów umieszczone są sprężyny o charakterystykach progresywnych.

Zawieszenie tylne tworzy pojedynczy wahacz rurowy mocowany bezpośrednio do obudowy skrzyni biegów. Elementem sprężystym jest jedna sprężyna śrubowa o progresywnej charakterystyce, a elementem tłumiącym jeden amortyzator.

Obydwa koła wyposażone są w hamulce tarczowe sterowane hydraulicznie. Koło przednie ma dwa hamulce tarczowe, a tylne jeden.

Motocykl posiada aerodynamiczną osłonę zapewniającą stabilność pojazdu przy dużych prędkościach jazdy. Wpływa ona też na zwiększenie prędkości maksymalnej i mniejsze zużycie paliwa. W osłonie wbudowane są światła przednich kierunkowskazów. Tylne kierunkowskazy zostały wkomponowane w obudowę siedzenia.

Pojazd wyposażony jest fabrycznie w pojemniki znajdujące się po obydwu stronach tylnego koła. Możliwość znacznego ich obciążenia zapewnia sztywna konstrukcja motocykla.

Dane techniczne motocykla BMW K 75 S są następujące: pojemność robocza silnika 740 cm sześc., moc 55 kW (75 KM) uzyskiwana przy 8500 obr/min, zasilanie w paliwo za pośrednictwem wtrysku sterowanego elektronicznie, zapłon elektroniczny. Długość pojazdu 2220 mm, szerokość 810 mm, rozstaw osi 1516 mm, obciążenie użyteczne 215 kg. Prędkość maksymalna 200 km/h, przyspieszenie od 0 do 100 km/h w czasie 4,6 sekundy. Średnie zużycie paliwa 6,3 l/100 km.

## KĄCIK PRZYJACIÓŁ MOTORYZACJI

**Marek LIBNER ul. Perseusza 94/4, 67-200 GŁOGÓW**, poszukuje prospektów następujących firm: Porsche, Peugeota, Fiata, Hondy, Mazdy, Toyoty, Ferrari, za które oferuje prospekty Forda oraz sprzętu elektronicznego.

**Antoni KLESZCZ, Pognizdów 86, 32-723 NIEPRZEŚNIA**, poszukuje numerów 27 i 57 „Świata Młodych" z 1988 roku, za które oferuje adresy do firm samochodowych.

**Szymon WAPIENIK, ul. Siglany 3, 43-460 WISŁA UZDR.**, poszukuje prospektów następujących firm motoryzacyjnych: Suzuki, Toyoty, Mitsubishi i Hondy. Za powyższe oferuje prospekty Citroëna, Fiata, Volkswagena, DAF-a, Skody.

**Robert BUKOWIECKI, 97-352 ŁĘKI SZLACHECKIE**, poszukuje prospektów lub zdjęć samochodów amerykańskich, wraz z ich danymi technicznymi, produkowanych w latach 1965-79. Do wymiany oferuje prospekty różnych samochodów, adresy firm samochodowych oraz około 300 zdjęć z „Katalogu Motoru".

**Bartek RABENDA, 72-013 STARE CZARNOWO**, poszukuje materiałów i dokumentacji dotyczącej budowy karta, za powyższe oferuje prospekty samochodów i inne materiały motoryzacyjne.

**ZENON DUTKIEWICZ**

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa, telex 81-36-58. ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-94-57, telex 0315569).

REDAGUJE KOLEGIUM: **Redaktor naczelny** Stanisław Borowiecki tel. 21-15-61, z-cy red. nacz. Ewa Drobnik i Wanda Kobyłecka tel. 29-21-42. **Sekretarz redakcji** Michał Malicki, z-cy sekr. red. Małgorzata Szczepańska i Grzegorz Burakiewicz tel. 28-25-48. **Kierownicy działów:** Jerzy Dąbrowski (dz. nauki i techniki tel. 21-98-28), Ewa Kosińska (dz. szkolno-harcerski tel. 21-47-06), Teresa Maciszewska (dz. kulturalno-literacki tel. 28-77-21), Zdzisław Przybyłowski (dz. sportowy tel. 21-98-28), Barbara Skórska (dz. listów i łączności z czytelnikami tel. 21-81-13), Wojciech Wróblewski (dz. fotoreportażu tel. 21-98-28). **Graficy:** Marlena Hanke, Szarlota Pawel i Magdalena Piotrowska. **Redaktorzy techniczni:** Aldona Rękawek i Barbara Zając. **Kierownik korekty:** Barbara Boguszewska; korektorki: Maria Marasek i Irena Ochrymowicz.

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca. Ogłoszenia przyjmuje Redakcja Wydawnictw Poradniczych i Reklamy, al. Stanów Zjednoczonych 53, 04-028 Warszawa, tel. 13-20-40 do 49, wewn. 403. Cena ogłoszeń według cennika. Wpłaty za ogłoszenia od osób fizycznych przyjmowane są na konto: Państwowy Bank Kredytowy III OM Warszawa, nr 370015-5757-139-11. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

WYDAWCA: RSW „Prasa-Książka-Ruch", Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, 04-028 Warszawa, al. Stanów Zjednoczonych 53. Telefony: Dyrektor 10-41-22, Dział Produkcji Prasowej 10-66-21. Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.

SKŁAD: Spółka z o.o. „POLOLIMP" w Warszawie.

Zam. P-4/90. A-12.
Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch" w Łodzi
Zam. 3425/89

UKAZUJE SIĘ OD 1949 r.
Nr 19 (4725)
Wychodzi:
wtorki, czwartki i soboty
Nr indeksu 35046
PL ISSN 0137-93214

# ZAGADKA UKŁADU C-2

Tekst i rysunki
TADEUSZ RACZKIEWICZ

10

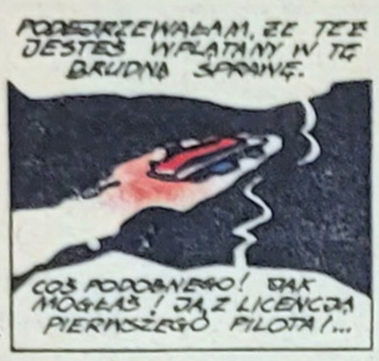

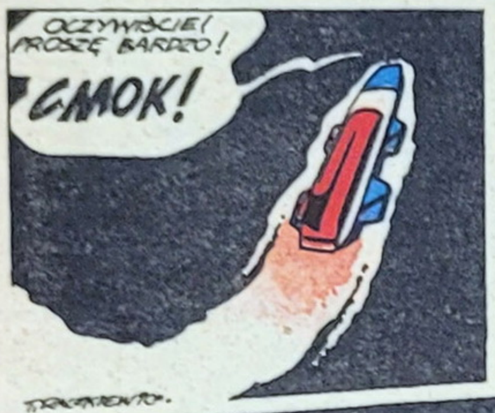


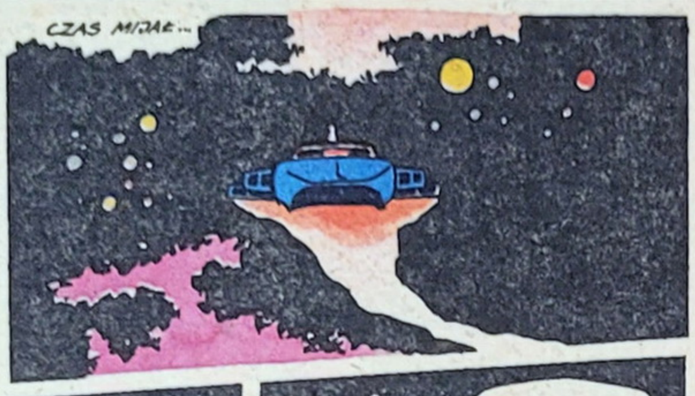


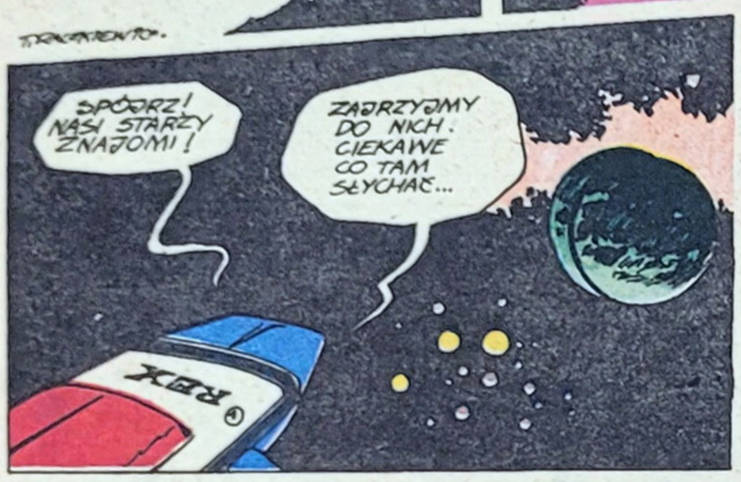

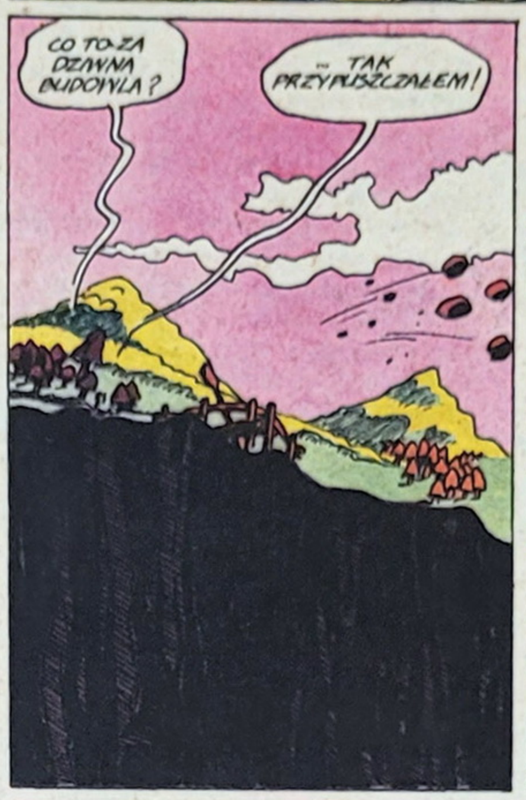

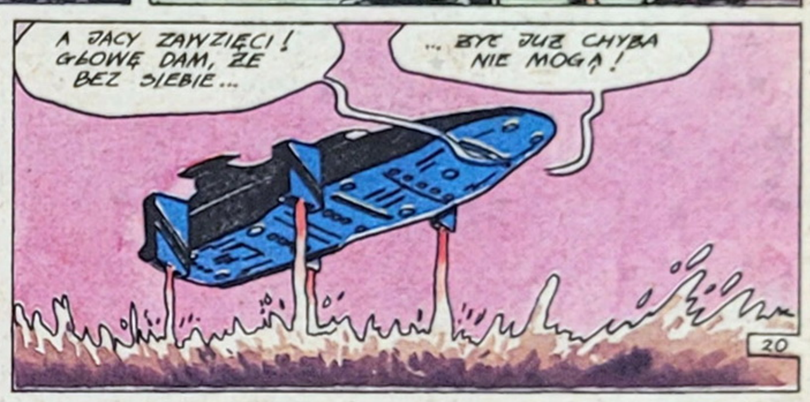


# ŚWIAT MODY

## PILNA UCZENNICA

Nie jest to może styl zbyt przebojowy ani awangardowy szczególnie, ale od wielu lat przez modę i żurnale mody się tak jakoś na marginesie innych ciuchów systematycznie przewija. Chodzi o styl na tzw. grzeczną uczennicę czy pensjonarkę.

Rzecz jest w gruncie rzeczy prosta – są to różne wariacje na kanwie tzw. galowego stroju uczniowskiego, który w wydaniu dziewczęcym sprowadza się do białej bluzki i granatowej spódniczki. Jest to strój przez większość uczennic serdecznie znienawidzony i ciarki Was autentyczne przechodzą, gdy wychowawczyni zapowiada, że z jakiejś tam okazji „jutro, proszę, w galowym!". Ja się tym Waszym ciarkom ani trochę nie dziwię, sama mam je za sobą. I dlatego postanowiłam Wam dzisiaj o tym stylu na „pilną uczennicę" co nieco napisać.

Co innego bowiem, gdy coś wynika z regulaminu szkolnego, a co innego, gdy jest jednym z przebierankowych stylów mody. Jako styl przebierankowy musi być oczywiście stosowany z całą konsekwencją i z całą powagą. (Tak jest w stylach: marynarskim, westernowym, pseudoludowym, dżentelmeńskim... i wszystkich innych, które są zabawą w naśladownictwo jakieś.)

Obok jest zdjęcie z jednego z najnowszych żurnali (grudzień ub. roku). Ta osoba, która prezentuje model, już oczywiście z wieku szkolnego wyrosła, ona jest za uczennicę „przebrana". Do tego stopnia w zabawę „weszła", że nawet włosy ma związane w kucyk szeroką wstążką, niby dziewuszka z młodych klas podstawówki.

Teczki noszone zamiast torebek są akurat szalenie modne, ale to tylko temu stylowi bardziej sprzyja. Podobnie jak granatowe pończochy (może prążkowane nawet!!!) czy spódnica na szelkach, bo szelki u spódnic to też jest coś, co w tym sezonie się nosi.

Popatrzcie na tę modelkę. Czy którakolwiek z Waszych wychowawczyń mogłaby coś strojowi tej osoby nawet na najszacowniejszej ze szkolnych akademii zarzucić?! A nikt się jej tak ubierać nie kazał, ona się po prostu tak przebrała. No więc?!...

**RIUSZKA**

# ŚWIAT NA 2 KÓŁKACH

## BMW 75 K S

Motocykl ten stanowi drugi z kolei jednoślad fabryki BMW z serii „K". Pierwsze motocykle tej serii wprowadzono na rynek w 1983 roku i były to pojazdy z czterocylindrowym silnikiem o pojemności 987 cm sześc., oznaczone jako K-100. Prezentowany motocykl posiada taką samą konstrukcję jak K-100, lecz wyposażony jest w mniejszy, trzycylindrowy silnik o pojemności 740 cm³. Stąd też oznaczony został jako K 75.

Cechą charakterystyczną i odróżniającą modele „K" od innych serii motocykli z tej firmy jest odmienna konstrukcja silnika. Jest to silnik o liniowym układzie cylindrów, chłodzony płynem, przymocowany do ramy w pozycji poziomej. Z tego względu pozycję cylindrów określa się jako leżące. Takie ułożenie silnika zapewnia głównie obniżenie środka ciężkości pojazdu, co poprawia kierowalność i możliwość opanowania motocykla, w trudnych warunkach drogowych. Daje również mniejsze straty mocy dzięki bezpośredniemu przekazywaniu napędu z wału korbowego na wałek wejściowy skrzyni biegów. Jak z tego wynika, napęd w tych motocyklach na tylne koło nie jest przekazywany za pośrednictwem łańcucha, lecz wałkiem napędowym.

Dodatkową zaletą silnika rzędowego podłużnie umieszczonego w stosunku do ramy motocykla jest jego nieskomplikowana obsługa oraz łatwy dostęp do wszystkich elementów, a nawet możliwość wymiany łożysk wału, tłoków i korbowodu bez wyjmowania silnika z ramy.

Zwartość i dużą sztywność konstrukcji nośnej zapewnia wkomponowanie całego zespołu napędowego w otwartą od dołu ramę rurową. W ten sposób zespół napędowy wprzęgnięto również w element nośny konstrukcji motocykla.

Silnik i skrzynia biegów tworzą zwartą całość, do której przymocowany jest wah-

CIĄG DALSZY NA STR. 7